

Pismo.

MAGAZYN OPINII

LIPIEC 2022 | NR 7 (55)

REPORTAŻ

**Kiedy władza
pozywa
obywateli**

**Na północnym
krańcu Europy**

Z PISMEM U...

**Thomasa
Piketty'ego**

ESEJ

**Ekonomiści:
władcy świata
i umysłów**

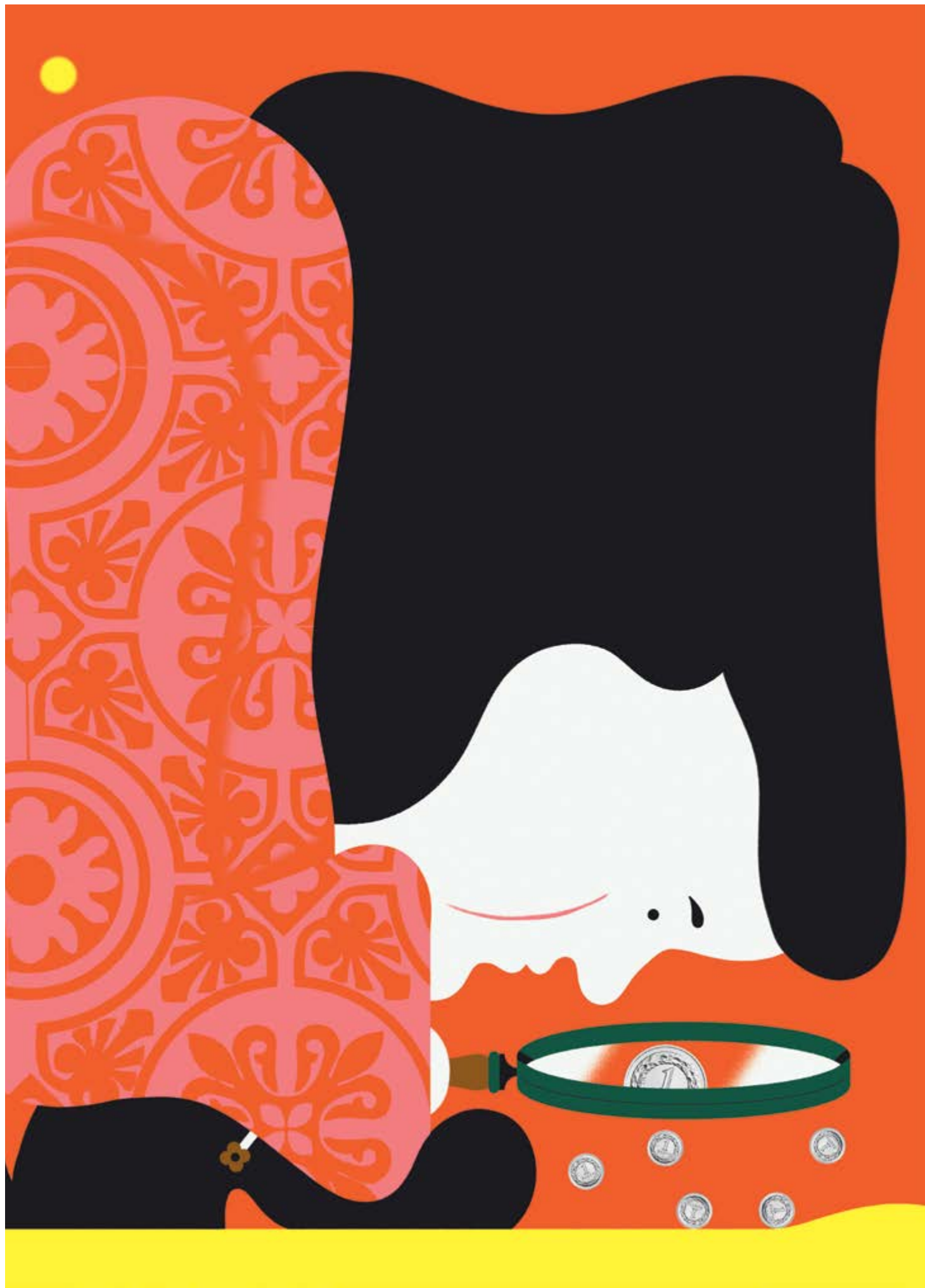
CENA: 17,99 zł (W TYM 8% VAT)

ISSN 2544-5022 INDEKS 422258

07 >



9 772544 502203





Chagall

Muzeum Narodowe w Warszawie

30.04 – 24.07.2022

WYSTAWA POD HONOROWYM PATRONATEM WICEPREZESA RADY MINISTRÓW, MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO,
PROF. PIOTRA GLIŃSKIEGO

MECENAS MUZEUM

PATRON ROKU JUBILEUSZOWEGO

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO



**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego**



PARTNERZY MUZEUM



PARTNER WYSTAWY

ams

Pismo.

LIPIEC 2022

PROZA FELIETON

Spotkanie klasowe | 6
WOJCIECH ENGELKING

2 | ROZMOWY Z K. **Dlaczego klasycy**
KAROLINA LEWESTAM odpowiada na pytania czytelniczki

Missing People | 90
KARIN SMIRNOFF

96 | PRZYPISY **À propos nowej ekonomii**
ZUZANNA KOWALCZYK

RZECZ GUSTU REPORTAŻ

Redakcja poleca | 3
wydarzenia kulturalne w lipcu

14 | **Siedlisko**
MICHAŁ SZCZĘCH opowiada o wójcie, który z gminy uczynił prywatny folwark

APTECZKA Z PISMEM U...

Co w niej trzyma... | 87
JANA SHOSTAK

42 | **Thomasa Piketty'ego**
ANNA GROMADA pyta o nierówności najsłynniejszego ekonomistę

POEZJA ESEJ

Ułamek | 13
WIOLETTA GRZEGORZEWSKA

26 | **Czy dla Kóreek czas się zatrzymał?**
ANNA SAWIŃSKA wyjaśnia, dlaczego Korea Południowa włączyła wsteczny bieg w polityce

[...] | 25
WOJCIECH BRZOSKA

52 | **W świecie jednorękich ekonomistów**
MIŁOSZ WIATROWSKI opowiada, kto rządzi światem

[...] | 95
IGOR POMIERANCEW

80 | **Multiwersum? Byłaby to wspaniała idea!**
JAKUB MAJMUREK tłumaczy koncepcję wieloświatów i zachwycę się jej potencjałem

OBRAZ FOTO | REPORTAŻ

CYKL REMEDIUM **Noszą w sobie to, co minęło** | 4
RAV.A STORIES

62 | **Pretekst**
ILONA WIŚNIEWSKA na dalekiej północy tropi norwesko-rosyjskie przyjaźnie

FOTOREPORTAŻ **Schronienie** | 34
RAFAŁ MILACH

KOMIKS **Kiedy tęsknię za domem** | 74
ELINA PYROHOVA

W RAMACH PISMA **Oczodoły** | 88
RAFAŁ BUJNOWSKI

ŻARTY RYSUNKOWE
ŻYCIE-NA-KRESKĘ

OKŁADKA **Drobne wakacje**
PAWEŁ MILDNER

Pismo.

Wydawca: Fundacja Pismo
ul. Wojciecha Górskiego 1/66,
00-033 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezes Zarządu: Piotr Nesterowicz
Członkinie Zarządu:
Magdalena Kicińska, Kalina Wysznińska

Pismo. Magazyn opinii
www.magazynpismo.pl

Adres redakcji: Pismo. Magazyn opinii, ul. Wojciecha Górskiego 1/66, 00-033 Warszawa,
Redaktorka Naczelna: Magdalena Kicińska, Kultura i sekretarowanie redakcji: Katarzyna Kazimierowska,
Weryfikacja faktów: Marcin Czajkowski, Idee: Karolina Lewestam, Ekonomia i Technologie: Zuzanna Kowalczyk,
Redakcja: Urszula Kifer, Zofia Sawicka, Korekta: Monika Marczyk, Dorota Śrutowska,
Szefowa Projektów Cyfrowych: Barbara Sowa, Wydanie Cyfrowe: Mateusz Roesler,
Projekt makiety: Jacek Utko, Redaktorka Artystyczna: Karolina Mazurkiewicz,
Szefowa Marketingu i Sprzedaży: Kalina Wysznińska, Promocja: Ewa Salamon, Fundraising: Natalia Czarkowska,
Prenumerata i subskrypcja: Marcin Lipiec, Reklama: reklama@magazynpismo.pl

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.



KAROLINA LEWESTAM (ur. 1979), dziennikarka i redaktorka. Obroniła doktorat z filozofii na Uniwersytecie Bostońskim. Wielokrotnie nominowana do nagrody Grand Press. Członkini redakcji „Pisma”.

Dlaczego klasycy

Droga Megan,

ogromnie ci współczuję. To jest niewątpliwie MP, czyli megapodły problem. Definicja MP, którą tu przyjmuję, jest następująca: to problem, w rozwiązaniu którego nie pomogą nam mity ludzkości, bajki i legendy. Nie pomogą też klasycy. Nie pomogą wielkie księgi przeszłości. A to znaczy, że ów problem jest nie tylko problemem, lecz także znakiem, że odlecieliśmy na całe eony od tak zwanej natury ludzkiej. To samo w sobie nie jest takie złe – w końcu natura ludzka nie ma wielu zalet – ale powoduje, że rozum praktyczny (ten fragment mózgu, który zajmuje się pytaniem „Co należałoby zrobić?”) zaczyna dostawać torsji.

Bo gdyby on cię zdradził tak „zwyczajnie”, z żywą kobietą, taką, która nie istnieje na przecięciu światłowodów i karty, ale gdzieś na trajektorii praca-Tinder-bar, to przecież wiedziałabyś, co robić. To znaczy, nie wiedziałabyś, oczywiście, że nie, bo nigdy się tak naprawdę nie wie, każda tragedia międzyludzka jest pojedyncza, partykularna i wyjątkowa – ale jednak mogłabyś wybrać jeden z dostępnych w literaturze scenariuszy: odejść i potępić; przebaczyć i zrozumieć. Dzieliłabyś los z Medeą; dzieliłabyś go z Herą, której łajdaczący się mąż przebierał się za łabędzie tudzież byki, żeby cudzołożyć z innymi niewiastami. Jasne, że te panie nie są może najlepszymi wzorcami reakcji na zdradę ze swoim zabijaniem dzieci czy zamienianiem kochanek męża w zwierzęta, ale są za to świadectwem, że w naszym gatunkowym imaginarium zdrada „na żywo” zawsze istniała i wzbudzała gwałtowne pasje. Dlatego gdy pojawia się zazdrość, złość, gniew, żal, bo jesteśmy zaskoczeni zdradą, to nie jesteśmy zdumieni tym, że odwiedziły nas te emocje.

A gdybyś go przyłapała na oglądaniu „zakazanych obrazów” (niech to będzie Pornhub albo nawet – naprawdę istniejący! – magazyn „Bimbały”), to... też byś wiedziała, co robić. Pomijam mizoginię większości dostępnej pornografii i potworne praktyki tego przemysłu; interesuje mnie tu tylko wasza hipotetyczna relacja, a ta ucierpiałaby pewnie mniej, bo mniej więcej od czasów Platona odróżniamy obraz od prawdy – zdrada z obrazem kosztuje i boli mniej.

Tymczasem on robi to z panią na ekranie – ona jest niczym obraz – ale przecież jest gdzieś, w tej właśnie chwili istnieje, robiąc dokładnie to, o co on prosi. Jest realna, nawet jeśli objawia mu się przez ekran. I coś sprawia, że on tej półrealności pragnie, bo zamiast odpalić sobie dorosły film, wybiera komunikację synchroniczną, w której impulsy biegną naraz w dwie strony, a obraz (inaczej niż nagrane wideo) nie zna swojej własnej przyszłości. W ten sposób do jego stosunku z komputerem wkrada się ta sama gra i ta sama wspólność sprawczości, która towarzyszy prawdziwej relacji. Tyle, że tu udaje się tę grę idealnie wyabstrahować z pełnej relacji i mieć ją za niewielkie pieniądze, bez zbędnych ciężarów realnego seksu. Zaprawdę powiadam wam, feudalny pan na włościach więcej miał problemów, próbując zmacać służącą (trzeba taką złapać, potem ciężarną odprawić, zanim się żona zorientuje), niż ma on, klikając „DoingItWithCarrots2001”. Nawet nie musiał się zmieniać w łabędzia. Tego nie umieli starzy bogowie, tego nie ma w bajkach. Zdrada? Słabość? Coś? Nic? Medei wykrzacza się algorytm i macha beładnie nożem, Hera krztusi się ambrosją. Czuję, że coś się stało, może została skrzywdzona, ale nie do końca rozumiem jak.

Nie wiesz, jak się czujesz; ludzkość nie ma skryptu na takie wydarzenia. Ale ja chyba wiem, jak bym się czuła; powiem ci. Najbardziej nie lubię tych, przez których wielkie sprawy ludzkości kurczą się do rozmiaru kliknięcia; tych, którzy tłumaczą się, zamiast unieść winę, tych, którzy gapią się na ekran, zamiast żyć. Bo najgorszy jest półreal, półseks, ćwierćzdrada, i z dwojga złego wolę być gniewną Herą niż cichą badaczką historii, jakie opowiada szeptem przeglądarka internetowa.

Droga K.

To nie jest ciekawy problem, raczej banalny, do bólu zwykły. (...) Nie mamy dzieci ani ślubu, ale jesteśmy już ze sobą ponad dziesięć lat. (...) No i stało się. Zdradził mnie. (...) Jestem potwornie na niego zła. Ale jestem też zła na siebie, bo chciałam zawsze być nowoczesną kobietą, dla której seks jest potrzebą biologiczną, a prawdziwy związek to historia i emocje, miłość. Tak on się właśnie tłumaczy: tylko seks. Seks, za który zapłacił. Seks przez kamerkę internetową, nawet nie pofatygował się osobiście. Czy to lepiej, czy gorzej? Czy wolałabym, żeby poznał kogoś, zauroczył się? Czy mam to tak zostawić? Czy to ogromna przewina, czy mała? Czy to kompletnie rozwała jego wizerunek, takiego mądrego i ciepłego faceta, feministy, którego mi zazdrościły wszystkie znajome? Co w ogóle zrobić w takiej sytuacji, czy to jest zdrada, jak mi się wydaje, czy po prostu takie nic? Wyrzucić to wszystko do kosza, czy udawać, że mnie to nie dotknęło? Czy jest w tym moja wina? Jakie są wytyczne w takiej sytuacji?

Megan

Czasem o trudnych rzeczach dobrze jest napisać do kogoś, kto jest daleko. Napisz do mnie. rozmowyzk@magazynpismo.pl



Noszą w sobie to, co minęło

zdjęcie KATARZYNA HECZKO BODORA
tekst KAROLINA WYBRANIEC

Rzeczy. Wiele z nich darzymy sentymentem, trzymamy w gablotce, z dala od kurzu i dotyku naszych dłoni. Dajemy naszym oczom napawać się ich widokiem, ale z czasem zaczynamy patrzeć na nie obojętnie. Odkurzamy jedynie od święta. Budzą w nas coś, co zatruwa całe popołudnie i trzyma, nie potrafi puścić.

To coś, co już minęło i nie wróci. A my traktujemy rzeczy jak kamienie milowe w historii naszego życia. Czujemy nostalgię w różnym stężeniu. Wspomnienia wracają, teraźniejszość na moment zamiera. I nie ma w tym nic złego, gdy mimo wszystko to uczucie pozostawia po sobie iskrę dobra i rysuje lekki uśmiech na twarzy. Jednak gdy ten finał nie nadchodzi, warto tę sytuację zakończyć.

Często to, co się odzywa, to ciężar ludzi, miejsc, zdarzeń, których pamięć siedzi w nas niczym kotwica, zakłeta w starym notesie lub wazoniku. Truje. Jest jak chwasty, które trzeba wyplewić. I przygotować grunt pod to, co będzie nas karmiło.



PROZA

Spotkanie klasowe

tekst WOJCIECH ENGELKING



Dawno już nie jeździłem na to osiedle, choć przecież stamtąd, gdzie mieszkam, to ledwie dwadzieścia minut uberem – a może i krócej, jeśli GPS podpowie jedną ze znajdujących się pod albo nad ziemią estakad, które w ostatnim czasie porały Warszawę. „To osiedle”: fałszywa nuta, dwa słowa, między którymi rozgościło się kłamstwo. Dla kogoś, kto na osiedlu spędził kilkanaście lat – zwłaszcza: wczesnych lat – nigdy nie będzie ono „tym”. Trafivszy na zbudowane wedle tego samego planu, rozpozna, gdzie i którymi chodnikami oraz wydeptanymi w trawnikach ścieżkami powinien się kierować. A jednocześnie inne osiedla tylko mu o tym jego przypomną, choćby były bliźniaczo podobne. Wszystkie osiedla w tej części świata są do siebie podobne, lecz to, na którym spędziło się kilkanaście lat życia – na którym ja spędziłem kilkanaście lat życia – jest jedyne w swoim rodzaju.

Dawno więc nie jeździłem na osiedle, ale pewnego parnego, dusznego popołudnia na początku maja pojechałem. Dwa tygodnie wcześniej dostałem na Facebooku zaproszenie do zbiorowego czatu i ujrzalem nazwiska, których przez kilkanaście lat nie widziałem zebranych w jednym miejscu. Osobno – jak najbardziej – wszystkich uczestników czatu przyjmowałem do wirtualnych znajomych, tak naprawdę wcale nie chcąc, by nimi byli. Nie byliśmy jednak razem od momentu, gdy skończyła się ostatnia lekcja w podstawówce i po raz ostatni została odczytana lista obecności w dzienniku. „Elo – głosiła pierwsza wiadomość – tyle lat, to może się zobaczymy?”

Podstawówka również znajdowała się na osiedlu, schowana za blokami, pomiędzy którymi ustalono spotkanie. Był to wielki, zbudowany w latach 70. prostopadłościan, który niedawno – a przynajmniej wydaje mi się, że musiało to być niedawno – pomalowano na jaskrawożółty kolor. Nie różnił się w tym od innych bloków, też prostopadłościaków, z tym że ustawionych w pionie: wszystkie były pstrokate i, otaczając niemal zamkniętym kręgiem podwórko z placem zabaw, przywoływały na myśl grupkę kobiet w zbyt kolorowych sukienkach. Jaskrawe były także ciuchcie, huśtawki i karuzele na placu zabaw – gdy wysiadłem z taksówki, już zajęte, choć nie przez dzieci.

– No proszę, kto to przyszedł – rozległ się głos chłopaka siedzącego na huśtawce. „Chłopaka”: miał trzydzieści lat, jak ja, miał zarost, jak ja, i – inaczej niż ja – niewielką bliznę na prawym policzku, a przecież od razu wiedziałem, że to Łuki, ten, który był dobry z informatyki. W dłoni trzymał otwartą puszkę Lecha; inna, zgnieciona, leżała na ziemi.

– Cześć – powiedziałem, podając mu siatkę z butelką wina. – Nie wziąłem korkociągu, pomożesz mi? Siedemnaście lat temu wiedziałeś, jak się to robi – nie dodałem: to ty, nie powiedziałem, wpełchnąłeś korek do pierwszej butelki wina, jaką wypilem w życiu, właśnie na tym placu zabaw, lecz nie takiej parnej wiosny. To było zimą, jednej z tych długich zim z przełomu wieków, które w mojej pamięci zlały się w jedną. Po szkolnej dyskotecie tu z wami przyszedłem, nie dodałem. Chwilę wcześniej grało Ich Troje, dziewczyny tańczyły, chłopcy, nim nastał czas przytulańców, podpierali ściany – a potem wypiliście wódkę, a ja wino.

– Cześć, Andrzej – rzuciła jedna z dziewczyn. To była, też wiedziałem od razu, Marta, obok niej stały Aneta i Paulina, obok Pauliny stała zaś Marika. – Cześć. Cześć, kopę lat, kopę.

Jedna z rzeczy, które rozstrzygają się, kiedy jesteśmy w podstawówce, to: które z dziewczyn staną się pięknosciami. Marta nigdy nie miała się nią stać, to było jasne i wtedy, i parnego dnia w maju, pod niebem, które, choć nie zaczęło jeszcze zachodzić słońce, z wolna ciemniało. Aneta – owszem, acz nie pięknosciami oszałamiającą. Marika nie musiała się stawać: była piękna i siedemnaście lat temu, i parnego dnia. Siedemnaście lat temu to była piękność dziewczynki, która jeszcze nie weszła w okres pokwitania i nie emanuje elektrycznymi ładunkami; parnego dnia także jednak nimi nie pulsowała. Jej piękno było już inne; było pięknem sukcesu, bezwarunkowego i obywatelskiego.

A przecież nie tylko uroda zostaje ustalona wtedy, na samym początku; ustalone zostaje całe życie, w następnych dekadach będące po prostu przypisami do swego kształtu z czasów, gdy jego właściciel miał dziewięć lat. Kiedy Łuki, Marta, Aneta zapraszali mnie do grona znajomych na Facebooku, nie musiałem klikać w zamieszczane na ich profilach zdjęcia, by wiedzieć,

gdzie pracują, z kim się parzą, jak spędzają wakacje. Gdy zaprosiła mnie Marika, też nie musiałem, jednak zrobiłem to, skuszone obietnicą radości, jaką niesie ze sobą potwierdzenie życzliwych drugiemu człowiekowi przypuszczeń. Obroniła doktorat z budowy maszyn, wykładała na Politechnice. Nie mieszkała na osiedlu, byłem przekonany, jednak nie wiedziałem na pewno.

– Nie, teraz na Ochocie – powiedziała. Miała na sobie dobrą, pikowaną kurtkę. – A ty? – Stare Bielany, właściwie na granicy Żoliborza i Bielan. – Toście odjechali! – skomentował Łuki, podając mi butelkę z wpełchniętym korkiem. Wypiłem, wino było ciepłe i kwaśne, niedobre. Pasowało do jaskrawych bloków i placu zabaw z płytką piaskownicą, do rosnących nieopodal topoli, suchego słońca i ciemniejącego nieba. – Ja wynajmuję tu – wskazał podbródkiem nieokreślony punkt. – Ja też bliźniutko – odezwał się Michał – zaraz koło kościoła. – Zawsze chodziłeś do kościoła – zauważył Łuki – byłeś ministrantem przecież.

– Teraz też chodzę – rzekł Michał – jak jest czas. Pracuję w sklepie rowerowym na Piastów Śląskich. – Ja na budowach, dużo wyjeżdżania, ale za rok, dwa, kupię swoje – oznajmił Łuki i nie powiedział nic więcej.

– A ty co robisz, Andrzej? – spytała któraś z dziewczyn, by od razu dodać: – Wiadomo, co robisz. – No, po tobie można było się spodziewać – zawyrokował Łuki – zawsze miałeś dryg do polskiego. – Robię to, co zawsze chciałem robić – powiedziałem, wbiwszy wzrok w poznaczoną gdzieś tam kępą trawy, a gdzieś tam skamieniałym górnem ziemię.

– A pamiętacie – zaczął ktoś – jak spierdoliliśmy z techniki całą klasę? Ależ się wkurwiła tamta stara baba. Jak jej było? Albo jak Michał wziął dziennik i dopisywał oceny? Kiedy cię złapali, wydawało się, że to koniec świata. A jak chodziliśmy ciągle na czarno, bo umarł papież?

– Albo gdy zajebaliśmy torebkę tamtej od plastyki. W sensie – nie zajebaliśmy, przecież nie chcieliśmy kraść, po prostu ją schowaliśmy.

– Wigilie klasowe. Kurwa, każdy przynosił wafelki i mandarynki. Nikt nie jadł tych mandarynek. Co oni robili potem z mandarynkami?

– Pewnie wypierdalali – orzekł Michał.

Wtedy zapytałem: – A gdzie jest Karol?

Nikt na placu zabaw zdawał się nie usłyszeć mojego pytania. Michał zamilkł, kiedy otwierałem usta, jednak gdy je zamknąłem, od razu poruszył inny temat. – Wycieczka do Kazimierza Dolnego, tak było – powiedział – daliśmy żułowi pięć złotych na redpsy. Malinowe redpsy. I piliśmy to tam nad rzeką, i baliśmy się, że nas złapie policja. Jak wracaliśmy – zwrócił się do Pauliny – to się do mnie przystawiałaś w autokarze. – Tak – rozchichotała się Paulina – mówiłyśmy sobie wtedy, że jesteś najprzystojniejszy z klasy.

– Karol – odezwałem się znowu, ignorując pytanie. – Co u niego?

Zawiał wiatr, o ton chłodniejszy, niepasujący do parnego, majowego dnia. – Chyba Andrzej – rzekła Paulina. To niemożliwe, nie odpowiedziałem. Byłem wtedy gruby, gruba beka, nie powiedziałem, tylko zapytałem: – A Karol, czy on przyjdzie?

Wielki, rzucany przez bloki cień podzielił podwórko na pół, z granicą biegnącą w poprzek piaskownicy. Po jej lewej stronie piasek mienił się na jasnozłoto, po prawej był brunatny i szary. Ja stałem po lewej.

To chmury przyniosły tamtego popołudnia nad bloki zmierzch, na długo, nim faktycznie zgasło słońce; szczerlnie, jakby bazaltową płytą zasłoniły taflę nieba i po ostrym świetle nie został ślad. Było wiadomo, że za chwilę spod tej płyty wyleje się deszcz, który obmyje osiedle z brudu.

– Może – usłyszałem cichy głos Mariki – chodźmy już stąd, Andrzej.

—
NIEZŁA CHATA – mruknęła, kiedy sufit wchłonął moje i jej dyszenie. Leżeliśmy obok siebie; zapaliłem lampkę po lewej stronie łóżka. Po prawej stała taka sama, zgaszona; nigdy dotąd jej nie użyto. Za oknem sypialni, ciągnącym się przez całą wysokość ściany, szalała burza. Pac, pac, pac – krople rozpryskiwały się o szklaną powierzchnię, za którą nie było widać wież kościoła na niedalekim placu Wilsona, spowitych przez chmury.

– Dzięki – powiedziałem. – I to twoje wszystko? – spytała. Odpowiedziałem: – Tak. – Skwitowała: – Brawo.

W oglądaniu po raz pierwszy nago osób, które się kiedyś znało, a potem wiele lat nie widziało, jest coś z zakładania dawno niewyjmowanego ubrania. Oto bluza noszona w poprzedniej dekadzie, a w niej kieszonka, której się dotąd nie zauważało; i co, zawsze tam była? Tak, zawsze czekała, by włożyć do niej papierosy, w księżde przyszłości był zapisany ten moment.

– Mieszkasz sam – stwierdziła. – Tak wolę – odparłem. – I nikt cię tutaj nie odwiedza? – Nie, właściwie nie – przyznałem. W ogóle nie było mi głupio. – W każdym razie jesteś pierwsza.

To jednak, co pewnego dnia się wydarza i w ten sposób staje oczywiste, nim takie będzie, jest nie do pomyślenia. Siedemnaście lat wcześniej nigdy bym nie uwierzył, gdyby mi ktoś powiedział, że pewnego dnia ja i Marika przeobrazimy się – na kilka godzin, bo nie więcej – w tę konfigurację kobiety i mężczyzny, jaka wśród dorosłych na osiedlu, z braku lepszego słowa, obowiązywała: w parę. Osiedle było wówczas pełne par, mam oraz tatków, na palcach jednej ręki dało się policzyć wyjątki.

– Po to przyszedłeś na to spotkanie? – spytała niespodziewanie Marika. – Po to? – nie zrozumiałem. – No, żeby mnie wyrwać? – Nie, ale to ładna historia – powiedziałem. – Możemy założyć, że tak było.

– A ja – powiedziała, też bez cienia wstyd – owszem.

– Dlaczego? – zdziwiłem się. – No, przecież wiesz – powiedziała Marika. – Chciałam iść do łóżka z pisarzem. Bo z kim z naszej klasy? Ty skończyłeś inaczej niż... – chwilę szukała właściwego słowa – oni. Tamci faceci.

„Taka koda tej historii – pomyślałem – nie byłaby zła. Oto chłopiec. Jest brzydki i gruby, lecz dobrze się uczy, i po latach staje się obiektem pragnień dziewczynki, która też dostawała piątki, poza tym jednak była piękna. Od brzydkiego kaczątka do niepięknego kaczoza, mającego jednakże inne przymioty”.

– Tam, na osiedlu... – zacząłem i nie skończyłem, po czym znów spróbowałem – spytałem o Karola. Nikt mi nie odpowiedział.

Pac, pac, pac – krople deszczu rozpryskiwały się o szybę. Burza ani myślała ustąpić, za każdą minutą nabierała siły.

Zamiast odpowiedzieć, Marika zerknęła na dwa kwiaty, które postawiłem przy drzwiach do sypialni. Za nimi ział korytarz z polerowanego betonu. – Co się stało? – drążyłem. – Co się stało z Karolem, pamiętasz go przecież?

– A ty – odpowiedziała pytaniem – co pamiętasz?

Oprócz sypialni w mieszkaniu były salon i gabinet. Marika żadnego z nich nie zobaczyła; nasza rozmowa zaczęła się i skończyła na łóżku.

– Sporo – odparłem. – Wydaje mi się, że sporo. Przyszedł do nas, jak byliśmy w drugiej klasie, prawda? I był bogaty.

– Bogaty? – zdziwiła się.

– No. Nosił... nosił nowe koszulki. Z Cropp Town, tam się wtedy ubierało.

– Koszulki nie są drogie – powiedziała. – Ale miał telefon z klapką, motorolę – skontrolowałem. – Jako pierwszy z klasy. Ja – dodałem, czując niespodziewany przypływ dumy – miałem zaraz po nim.

To były cuda techniki – wtedy. Mały, niebieski ekranik na klapce, gdy się telefon zamknęło, a potem ledwo większy, już wielokolorowy, gdy się otworzyło. Na klawiaturze zielony i czerwony kształt słuchawki, okrągły dżojstik, cyfry z przypisanymi do każdej literkami.

– I tylko tyle pamiętasz – stwierdziła cicho Marika. – Że był bogaty.

– Nie, nieprawda – powiedziałem od razu. – Pamiętam... – zacząłem, jednak nie dokończyłem. Bo czy faktycznie pamiętałem?

Raczej wiedziałem, że pamiętam. W tym miejscu w głowie, gdzie trzymałem plan osiedla, w ciemnym magazynie, złożyłem i zamknąłem na klucz obrazy, w które przeistoczyły się zdarzenia z podstawówki. Nigdy ich nie odwiedzałem, bo wystarczyło mi zerknąć na dolne rogi, by wiedzieć, co namalowano na środku, i że od patrzenia na środek wyleją mi się oczy.

– Słyszałem, że założył firmę – odezwał się po chwili. Nie dodałem, że gdy raz wstukałem nazwisko Karola w Google – musiało to być trzy lata wcześniej – poprowadziło mnie do Krajowego Rejestru Sądowego i odpowiedniego wpisu. Sprawdziłem adres – kierował na osiedle – i numer telefonu, by ten ostatni skrzętnie przepisać do kontaktów w komórce. – W każdym razie jakiś biznes – dodałem.

Prychnęła. – No, już wcześniej chciał robić biznes, w gimnazjum – rzekła. – W gimnazjum? – nie zrozumiałem. – Osiedlowym. Ty od razu poszedłeś gdzie indziej, ja dopiero do liceum. W gimnazjum tam z nimi byłam. Z nim.

– I co?

– I rozprowadzał dragi.

Pomyślałem: „Więc to tak”. – Jakie? – spytałem. – Głównie mefedron – odpowiedziała. – Wtedy się na osiedlu brało mefedron? – zdziwiłem się. – Brało się wszystko. Co innego można było robić? Przecież tam nic nie ma. Bloki, podwórko, dzieci. Psy. Młodsze dzieci. Supermarket. – Ale ty – powiedziałem – nie brałaś tego, co rozprowadzała. – Nie – zgodziła się – nie brałam.

Pac, pac; deszcz uderzał o okno sypialni, rozbite krople spływały, zostawiając na szkle pląskorzeźby, które za chwilę miały zmienić kształty. Milcząca Marika wpatrywała się w sufit i byłem przekonany, że nic więcej nie powie, lecz w pewnym momencie uniosła się, zakrywając kołdrą piersi.

– Dwie dziewczyny z nim spały – oznajmiła.

– Och – mruknąłem. – Które? – Marta i Aneta. W sensie, jeśli chodzi o te z naszej klasy. Bo z osiedla to było sporo innych...

– Dlatego – wydawało mi się, że rozumiem – nie chciały o nim mówić?

Rzeczywiście – wydawało mi się. Wydawało mi się tak, jak tylko mogło mi się wydawać. Nie zbliżyłem się nawet do prawdy, stałem od niej daleko – a prawda była schowana we mnie, w miejscu, do którego wolałem nie chodzić.

Marika prychnęła. – Faceci też nie chcieli o nim mówić – stwierdziła.

– Jeśli... – zacząłem, ale Marika mi przerwała:

– Pamiętasz tylko to, że miał drogie koszulki?

Moje myśli znalazły się przy wejściu do magazynu w głowie; otworzyły drzwi, wyjęły obrazy z wielkich skrzyń, zapaliły nad nimi światło.

– A może pamiętasz – dodała tymczasem Marika – co on nam wtedy robił?

W magazynie zrobiło się ciemno, obrazy zniknęły.

Są takie pytania, co do których domyślamy się, że kiedyś je usłyszymy. Czekamy na nie, bo już dawno uzmysłowiliśmy sobie, że padną, więc przez czas, jaki zdążył upłynąć, zbudowaliśmy na nie, jako rodzaj pancerza, błyskotliwą odpowiedź. Wystarczy jednak, by pytanie pojawiło się w kształcie innym niż zakładany, a pancerz zwija się niczym harmonijka.

Spodziewałem się, że Marika – bądź ktośkolwiek inny – spyta o to, o co zapytała; nigdy jednak nie przeszło mi przez myśl, że w jej pytaniu znajdzie się słowo: „nam”. „Tobie” – owszem, na nie byłem przygotowany. Całą taktykę mojej obrony wzniosłem wokół słowa „tobie”. Jednak: „nam”?

Wiosenny deszcz bębnił o okno sypialni.

– No, tak – powiedziała Marika. – Co: tak? – Stuprocentowy pisarz – rzekła. – Stuprocentowy egoista. Tak myślałam.

I kontynuowała: – Nigdy byś nie wpadł na to, że mnie on też coś zrobił. I Patrycji. Klauddii. Łukaszowi. Nas wszystkich dręczył, nie tylko ciebie.

Uniosłem się na łóżku i położyłem dłoń na jej przedramieniu. Zerknęła tam, a potem przegubem strząsnęła moje palce i wstała.

Bezradnie patrzyłem, jak zbiera ubrania z podłogi. Schylała się i wypinała w sposób, który wskazywał, że się tego nie wstydzi, bo wstydzic można się przy kimś, kto nie potwierdził naszych przypuszczeń co do swojej duszy, a ja potwierdziłem je więcej niż wyraźnie.

Kiedy już się ubrała, rzekła:

– Wszyscy przyszli, bo wiedzieli, że go nie będzie. – Skąd wiedzieli? – nie rozumiałem. Marika uniosła brwi, potem zaś odparła, że Karol nie żyje.

— DO NASZEJ KLASY przyszedł jesienią. Był środkiem lekcji; przez okna sączyło się miodowe światło, jakie zawsze sączy się przez nie w październiku, gdy jesteśmy dziećmi. Szedł

za wychowawczynią, za nimi podążała zaś kobieta o rudych włosach, która miała pewnie około trzydziestu lat, wydała mi się więc wówczas bardzo stara. Stanęli przed tablicą, wychowawczyni powiedziała: – To jest Karol – na co ruda kobieta westchnęła, a Karol wykrzywił twarz tak, że wydawało się, jakby żaden z jej elementów nie pasował do pozostałych. – Usiądź.

We wszystkich klasach, we wszystkich szkołach na świecie, gdy przychodzi do nich ktoś, kogo – przez pewien czas – nazywa się „nowym”, aura tego, że jest nowy, początkowo blokuje mu ruchy. Trochę się kuli, jakby marzył, i nawet nie udaje, że nie wolałby być gdzie indziej.



W naszej klasie tak nie było. Podczas tamtej lekcji Karol siedział w ławce pewnie i zdawał się w ogóle nie słuchać nauczycielki. Zamiast tego rozglądał się po pomieszczeniu i zmieniał grymasy na twarzy: nie raz, nie dwa, nie trzy, lecz bezustannie. Raz nawet pokazał język, ale w nietypowy sposób: wystawił go za granicę warg, przygryzł i widać było, że gryzie bardzo mocno. Kogoś innego by to bolało; jego nie bolało.

Gdy matematyka się skończyła i wyszliśmy na przerwę, chłopaki go otoczyli. Łuki, Maciek, Tomek, przedstawiali się po kolei, a Karol nic nie mówił, tylko zgrzytał zębami i mechanicznie, sztywno kiwał głową. – Andrzej – oznajmiłem, kiedy przyszła moja kolej, i wtedy się odezwał.

– Jędre – powiedział.

– Nie – zaoponowałem, bo myślałem, że nie dosłyszał. – Andrzej. Wszyscy mówią na mnie: Andrzej. – Jędre – syknął. – Kurwa, Jędre. Tak się nazywasz. Jędre Pędre. Jędre, chujek mały. Jędrula.

W biografjach dyktatorów ich szkolni koledzy zwykli przywoływać szczególny moment: wyizolowaną z dziejów chwilę, gdy stało się jasne, że przysli tyrani już jako chłopcy potrafiliby brać swych bliźnich we władanie. Nigdy im nie wierzyłem, wiedząc, że nie da się wskazać takiego pojedynczego zdarzenia.

To, co stało się w naszej klasie wraz z przyjściem Karola, nie stało się przecież, gdy odmówił mówienia do mnie Andrzej. Nie wtedy, kiedy – czy było to tego samego dnia, czy może tydzień później? – pod nieobecność nauczycielki narysował na tablicy olbrzymiego chuja, podpisując go jej nazwiskiem. Nie wtedy, kiedy rozsmarował własne gówno po szkolnej toalecie. Nie, kiedy pobił się na boisku za szkołą, a chłopak, z którym się pobił, przez pewien czas chodził w okularach ze szkłem zalepionym gazą. Nie, kiedy na WF-ie podstawił komuś nogę, a gdy ten ktoś się przewrócił, podbiegł i długo, bardzo długo kopał go w brzuch; brązowe wymioty zlały się z barwą podłogi.

Nie było to także wtedy, gdy zabrał Michałowi kanapkę, jedną z tych, które się wtedy nosiło do szkoły: kajzerkę z pasztetem. Wrzucił ją do kibla – tam się rozpadła – spuścił, kibel się zapchał, Karol wyłowił rozmiękłą bułę oraz namoczony pasztet i kazał Michałowi zeżreć; Michał zeżarł. Nie, gdy na pytania nauczycieli zaczął odpowiadać „jajeczko” lub „sraka”. Nie, gdy zabrał Paulinie zeszyt, stanął na ławce, zaczął wyrwać z niego kartki, zgniatać je w kulki i wyrzucać za okno. Nie, gdy przez to okno wysypał zawartość tornistra Łukiego, a potem, kiedy Łuki pobiegł ratować to, co jeszcze dało się uratować, zrzucił sam tornister. Nie, kiedy podszedł do stojącego w kolejce do sklepiku Maćka, wyszarpał mu z dłoni banknot dziesięciozłotowy i podarł, a potem uderzył Maćka w skroń. Maciek upadł na podłogę; potem, ciężko dysząc, wstał. Karola już nie było.

Nie stało się to w żadnym z tych momentów, a jednocześnie stało się w każdym z nich – stawało się bowiem tym dobitniej, im głośniejszy śmiech im towarzyszył.

Z początku nie dało się go w ogóle usłyszeć. Gdy jednak druga klasa zmieniała się w trzecią, czwarta w piątą, narastał. Nie dobiegał z gardła jednego chłopaka i jednej dziewczyny, nie był pojedynczym sopranem albo – od pewnego momentu – falsetem,

lecz chórem, raz liczniejszym, raz mniej liczny, w szczytowych momentach składającym się jednak z tylu głosów, że nie pomieściłaby ich największa sala orkiestrowa.

Od momentu, gdy Karol pojawił się w mojej klasie, do szkoły szło się po to, żeby oglądać czyjeś upokorzenie. Szło się do niej dziwnie, bo im bliżej schowanego wśród bloków prostopadłościanu – a w nim szmat do wycierania tablic: woda z nich spływała, wślizgując się pod rękawy; a w nim woni emalii na korytarzach, rozhajcowanych kaloryferów: bolała od nich głowa; a w nim kibli, gdzie zimą było chłodno i nigdy nie spuszczano wody, nigdy też nie wieszano papieru toaletowego – tym głośniejsze o ściany czaszki obijało się jedno pytanie. Czy to ja stanę się dziś pośmiewiskiem? A może ja będę się śmiał, ja się będę śmiała?

Przypominałem sobie wszystkie te zdarzenia, gdy Marika wyszła z mieszkania na Bielanych, i zdecydowałem się w końcu odwiedzić ciemny magazyn w mojej głowie, od wielu lat zamknięty na cztery spusty. Kiedy jednak krążyłem między wyjętymi ze skrzyń obrazami, dostrzegając na nich szczegóły, co do których nie wiedziałem, że je pamiętam – dokładnie wypolerowane belki drabinek na sali gimnastycznej; mięsiste i zakurzone liście rododendronów – nie mogłem opanować wrażenia, że mój strach był większy od tego, czego się obawiałem. „To wszystko? – pytałem sam siebie. – Wszystko? To, co Karol robił, było okrutne, owszem; jednak tylko dla dzieci. Dorośli co dnia robią gorsze rzeczy, ponieważ są dorośli”.

I jeszcze ta dziwna sensowność, jaką temu nadałem! Cóż za system wymyśliłem! Cóż za system sprawowania władzy, w którym nikt nie może być pewny, jak skończy się dla niego dzień w szkole, może jednak być pewny, że kiedyś nastąpi taki, gdy i on zostanie upokorzony!

Moje upokorzenie nadeszło jesienią roku 2003.

To znaczy prawdziwe upokorzenie. Poprzedzały je drobniejsze, jakby wstępny do tego właściwego. Zabrane pieniądze; książka, którą akurat czytałem, wrzucona do kosza na śmieci; podstawiona noga. Musiałem jednak poczekać kilka lat, wówczas: całą wieczność, by zostać pogiębionym na prawdę.

Szatnie od WF-u znajdowały się w długim korytarzu, łączącym prostopadłościan wybudowany w latach 70. z mniejszym i młodszym, w którym mieściła się sala gimnastyczna. Prowadziły do nich trzy pary drzwi, między którymi postawiono gabloty prezentujące pamiątki z zawodów sportowych.

Tamtego dnia miałem jedenaście lat. Moje podbrzusze i klatka piersiowa były bezwłose; mój penis był siusiakiem; tak wyglądało to u wszystkich chłopców. A jednak w wakacje, które dzieliły tę jesień od poprzedniego roku szkolnego, coś się zmieniło i jak inni chłopcy do przebijania odwracałem się w stronę ściany, starając się możliwie szybko włożyć spodnie gimnastyczne. Właśnie w nie wskakiwałem, kiedy poczułem, że ktoś mnie ciągnie za włosy, a chwilę później wylądowałem na podłodze.

Karol stał nade mną. – Patrzcie, kurwa, jaki to jest grubas – mówił, przy okazji na mnie plując. – Jaka to jest gruba beka. Jakie ma cycki. Wielka beka, grupa dupa. – Podpierając się na dłoniach, spróbowałem wstać; gdy to zauważył, wziął zamach nogą i kopnął mnie. – Gruba, tłusta dupa – mówił – ciężka pizda, jebany spaślak, niedźwiedzie sadło – syczał, a przynajmniej wydawało mi się, że to robi, bo nie słyszałem ani jednego słowa. Uszy rozsadzał mi pisk, jakby ktoś w nich grzebał długą igłą. Kopnął mnie w jaja.

Kopnął mnie w jaja, w moje małe, osłonięte tylko bokserkami jaja chłopca, który ciągle był chłopcem. Kopnął mnie i bardzo mnie bolało, promieniując z krocza w stronę ud i brzucha. – Wstawaj, kurwa, brzuchalu, gruba beko, idziemy na WF, tłuściochu, wstawaj, pizdo – powiedział, a potem odwrócił się, reszta chłopaków także, i skierowali się w stronę wyjścia.

„Jeszcze dwa lata – pomyślałem, polykając łzy – i wszystko się zmieni. Pójdę do gimnazjum. Dwa lata i wszystko się zmieni” – obiecałem sobie.

A jednak zmieniło się wcześniej.

DESZCZ PRZESTAŁ PADAĆ W NOCY; gdy się obudziłem, za oknem Bielany parowały, smagane promieniami słońca. Otaczał mnie zapach Mariki czy raczej woń, której wcześniej

w domu nie czułem, więc założyłem, że należy do Mariki.

Poranek spędziłem przykuty do Google'a. Gdy wpisałem imię i nazwisko Karola w połączeniu ze słowem „nekrolog”, przeglądarka nie wypuła żadnego wyniku. Gdy bez niego – ani jednej informacji, na którą bym dotąd nie trafił. Co więcej, zniknęła część odszukanych wcześniej, w tym adres firmy i numer telefonu, który przepisałem do swojej komórki.

Kusiło mnie, by na Messengerze zadzwonić do Mariki – bądź kogokolwiek z uczestników spotkania – ale się powstrzymałem. Podejrzewałem, że połączenie zostałyby odrzucone. Poprzedniego dnia byłem dla nich ciekawostką, otoczoną przez aurę zdziwienia, które musieli odczuć, pierwszy raz widząc kiedyś znajomą twarz w nagłówku portalu internetowego. Aurę tę przebijają jednak nieufne spojrzenia. Opiszesz nas? – pytały. Po to przyjechałeś?

Po co właściwie przyjechałem?

Poranek przeszedł w popołudnie, popołudnie w wieczór i niebo nad Warszawą nabrało szafirowego koloru. Zamówiłem ubera, wpisując w pole wyszukiwania adres, który zniknął z Google'a, ale nie z mojej pamięci.

Pierwszy raz odwiedziłem tamto mieszkanie na początku szóstej klasy. Dwa lata wcześniej przestałem chodzić na religię; przez czterdzieści pięć minut, które inni spędzali w towarzystwie księdza, siedziałem w szkolnej bibliotece. Było tam cicho, pachniało kurzem i półkami ze sklejki. Kupione z unijnych dotacji komputery szemrały jak strumyki. Czułem się tam dobrze.

Nie wiem, co takiego czytałem, gdy rozległo się: – Jędrak.

Słowo to zostało wypowiedziane innym tonem niż zazwyczaj. Kiedy uniosłem wzrok znad książki, zrozumiałem, że zmieniło się coś jeszcze. Twarz Karola, dotychczas zawsze zdająca się zlepioną z kilku innych, które do siebie nie pasowały, nabrała spójności – dziwnej, ale jednak spójności. Nie sprawiło to jednak, że nie odczułem momentalnie tego, co czułem zawsze, kiedy znajdował się w pobliżu: strachu, idącego od nóg, które zrobiły się jak galareta, przez skopane jaja i brzuch aż do głowy.

– Co, Jędrak, czytasz? – powiedział. – Książkę – odparłem. – Kurwa, widzę. Nie

chodzisz na religię, co? Ja też nie. To samo pierdolenie. Patrz, jaki mam telefon – rzekł, wyjmując motorolę z klapką – zajebista komóreczka, ślipiaj.

I mówił dalej:

– Tak siedzisz. Siedzisz i czytasz. Ja też nie chodzę na religię. Chodzę ze mną. – Z tobą? – zdziwiłem się. – Ze mną, kurwa, widzisz tu jeszcze kogoś? Kurwa, idziesz? – powiedział, ale nie ruszył się, nim nie zerknąłem, czy pilnująca sali bibliotekarka odwróciła wzrok. Zrobiła to, podobnie jak woźny przy wejściu.

Siedemnaście lat później szafirowy kolor zniknął z nieba, gdy uber dojechał na osiedle. Było chłodno, po parności poprzedniego popołudnia nie został ślad. Auto zatrzymało się przed dziesięciopiętrowym blokiem.

– To mojej starej, mojej matki – mówił Karol, pokazując gablotę w salonie dwupokojowego mieszkania, do którego mnie zaprowadził. Znajdował się w niej barek: trzy szklane półki, a na każdej butelki markowych alkoholi. – To mojej matki, ale stary to kupuje – opowiadał.

I do tego dwupokojowego mieszkania zapukałem siedemnaście lat później, a drzwi się otworzyły. – Dzień dobry – powiedziałem, ujrzawszy wysoką kobietę o rudych włosach – przynajmniej założyłem, że wciąż muszą być rude, ponieważ w korytarzu panowała ciemność. Twarz kobiety złożona była z fałd i ze zmarszczek. – Pani mnie nie zna – powiedziałem – ale ja się nazywam... – Wiem, jak się nazywasz – przerwała mi. – Jak się pan nazywa – poprawiła się. – Niech pan wejdzie.

– Chcesz się napić? – zapytał Karol. Pokręciłem głową; a przecież rok wcześniej, po szkolnej dyskotecie, piłem swoje pierwsze wino, poczuwając się do tego, by je wypić. – A coś ci pokażę, pokażę – powiedział.

Jego pokój zarazem i nie różnił się, i różnił od tych, jakie zamieszkiwali w owych czasach dwunastoletni chłopcy. Przy lewej ścianie stało łóżko, przy prawej szafa, pod oknem biurko. Na nim jednak spoczywały laptop, drukarka i skaner. To był rok 2004: nikt w szkole nie miał laptopa. – Tutaj to schowałem – powiedział Karol, wyjmując spod skanera płytę CD. Jej awers był czarny, różowiły się na nim kształty nadrukowanych pośladków i piersi.



SOLIDARNI Z UKRAINĄ



Do końca września
cały dochód
ze sprzedaży książki
Katarzyny Łozy
Ukraina. Soroczka
i kiszone arbuzy
zostanie przekazany

na działalność
Polskiej Akcji Humanitarnej
SOS UKRAINA.

Książka dostępna wyłącznie
w księgarni Wydaje nam się.





W salonie wciąż stała ta sama – lub bardzo do niej podobna – gablota i nadal służyła za barek. Choć za oknem było ciemno, matka Karola nie zapaliła światła. Dopiero po chwili, gdy usiadłem na głębokiej, niewygodnej kanapie, dostrzegłem pełny ciemnej cieczy kieliszek na stoliku obok fotela, który zajęła. – Pewnie długo tu pana nie było – powiedziała.

– To prawda, długo – potwierdziłem i nie dodałem: a w szóstej klasie w tym mieszkaniu co tydzień oglądałem pornosy. Co tydzień od tamtego razu Karol mi je pokazywał, nie powiedziałem, zamiast tego rze- kłem:

– Słyszałem, że pani syn nie żyje.

Wzdrygnęła się, sięgnęła po kieliszek, a gdy wypila, jej wargi złączyły się w idealnie prostą linię. – Bardzo się ucieszyłam – powiedziała – kiedy pan i mój syn się zaprzyjaźniliście.

– To nie była żadna przyjaźń – warknąłem od razu. Nie powiedziałem: po prostu tu przychodziłem oglądać pornosy. Skaczące piersi, rozwarłe dupy, uśmiechnięte cipy, od tamtego pierwszego wyjścia robiliśmy to już regularnie. Nasz sekret, czterdzieści pięć minut w tę i w w tę, na film.

– Ale tacy chłopcy – mówiła dalej, jakby mnie nie usłyszała – zawsze się zaprzyjaźniają. Znajdują coś, co ich łączy, i są już przyjaciółmi.

W szkole nikt nie wiedział, co ja i Karol robimy. Zdarzyło mi się wtedy jedyny raz w życiu zatajać coś, co napawało mnie dumą.

Nie mnie pierwszego w jego towarzystwie przepełniło to uczucie; moja duma była jednak szczególnego rodzaju. Czułem, że łączy nas pakt, doniosły i sekretny. On przecież także nikomu nie powiedział o naszych wycieczkach i zachowywał pozory w tym sensie, że wciąż nazywał mnie: „Jędrək” i „niedźwiedzie sadło”. Nigdy już jednak mnie nie uderzył, a drugie z przezwisk nie bolało tak jak w szatni od WF-u. „Karol musi to robić – tłumaczyłem sobie – bo inaczej wszyscy by się zorientowali”.

Podczas cotygodniowych wycieczek mogłem na własne oczy zweryfikować plotki, które krążyły o nim w szkole – szczególnie tę, że pochodzi z zamożnej rodziny. I pochodził, i nie pochodził. Na początku dwudziestego pierwszego wieku na osiedle

dotarł dobrobyt: obok bazaru wybudowały się nowe bloki, nazywane na wyrost apartamentowcami. Czyi rodzice mieli pieniądze, ten się tam przeprowadzał; Karol się tam nie przeniósł. Został w starym bloku, a jednak miał laptop, drukarkę, skaner – i płytki, które pod nim ukrywał.

Za pomocą owych płytek, jak gdyby kłuczy, otworzył przede mną tajemny świat, którego istnienie dotąd tylko podejrzewałem. Już nie zastanawiałem się, z kim w przyszłości połączę się w parę, jak to na osiedlu; już wracałem do szkoły w majtkach, w których zasychało nasienie.

Tak minęła mi szósta klasa podstawówki. W czerwcu złożyłem papiery do najbliższego gimnazjum, jakie mogłem wybrać, i nikomu o tym nie powiedziałem.

– Mój syn i pan – siedemnaście lat później powiedziała matka Karola – byliście bardzo podobni. Obydwaj bez taty – wyjaśniła. – Nic dziwnego, że się zaprzyjaźniliście. Tacy chłopcy się zaprzyjaźniają.

– Twój syn był diabłem – rzuciłem. – Zabrał dobremu chłopakowi kanapkę i spuścił w sraczu, a potem kazał zeżreć. Twój syn mnie kopnął w jaja.

– A pan nic nie zrobił – oznajmiła w ciemność matka Karola – nic. Kopnął pana w jaja – powiedziała i w jej ustach te słowa zabrzmiały zabawnie. – Mógł mu pan oddać. I jak tę kanapkę zabrał, też pan nic nie zrobił.

Gdy skończyła się ceremonia rozdania świadectw – pierwsza z ostatnich ceremonii w moim życiu – wyszedłem przed szkołę. Byłem objuczony torbami, w których objęły się oprawione w ramki dyplomy dla najlepszego ucznia.

– Mógł pan zrobić. Pan i on byliście tacy sami. Byliście chłopcami.

Powietrze przesycił zapach kwiatów. Obładowany torbami, czekałem – i nagle coś się stało. Jakby mnie tknął impuls elektryczny, zerwałem się do biegu. W galowych butach zacząłem pędzić w stronę szkolnej bramy, by jak najszybciej zniknąć za nią, za murem, zakrętem ulicy.

—
GDY WSTAŁEM, RUDOWŁOSA kobieta na mnie nie spojrzała. Zdawała się nie dostrzegać różnicy między ciemnością, w której jestem, a tą, w której mnie brakuje; być może nie zauważałaby jej także, gdybym siedział w świetle.

Nim wyszedłem, otworzyłem drzwi drugiego pokoju. Nie zobaczyłem tam laptopa; skanera; ukrytych pod nim płyt; nie zobaczyłem łóżka, szafy. Jedyne, co zostało, to widok na podwórko.

Pokój został doszczętnie opróżniony.

—
Z POCZĄTKU NIE BYŁO DNIA, bym nie myślał o Karolu. Bardziej jednak niż jego wspomnienie owe myśli sprowadzała do mojej głowy świadomość tego, co go spotkało potem. Miał tyle lat co ja; i umarł.

Dzieliło nas kilka miesięcy, może tygodni, może nawet dni, nie wiedziałem, kiedy ma – miał – urodziny; i umarł. Nie interesowało mnie, w jaki sposób się to stało – umarł. Był, był, był – a potem go nie było.

Od tamtych wydarzeń minęły dwa lata. Lampka z prawej strony mojego łóżka w końcu została zapalona; raz, drugi, potem wiele razy.

Pewnego dnia jechałem na umówiony na Tinderze *one night stand*. Randka podała mi nazwę nieznannej ulicy; wstukałem ją w ubera i, obojętny, dokąd zmiierzam, pisałem już z inną. Głowę uniosłem, dopiero wysiadłszy z auta.

Nie wiedziałem, gdzie się znajduje, lecz wiedziałem, że na osiedlu. Nigdy wcześniej nie odwiedziłem tej jego części, lecz była ona jego częścią, wskazywała na to unosząca się w powietrzu specyficzna woń.

Randka mieszkała – poinformowała mnie – na siódmym piętrze. Winda wznosiła się wolno, w końcu zatrzymała, wysiadłem, poszedłem w lewo.

Zza moich pleców rozległo się: – Jędrək?

marzec 2022

Tego i innych opowiadań
posłuchasz również
w wersji audio na
magazynpismo.pl/proza



POEZJA

Ułamek

WIOLETTA GRZEGORZEWSKA

—

Widziałam jak stara kobieta z Syrii
przyculała młodego strusia.
Ptak układał głowę na jej czole,
zaciskał powieki i zaczynał szybować.

To, co w ułamku sekundy
między nimi się ukazało,
nazwałabym Bogiem.

WIOLETTA
GRZEGORZEWSKA

(ur. 1974), pseudonim Wioletta Greg, pisarka. Autorka kilku tomów poetyckich i powieści: *Guguły*, *Stancje*, *Dodatkowa dusza*, *Wilcza rzeka* oraz książki dla dzieci *Lola i ptaki*. Jej *Guguły* znalazły się w finale Nagrody Nike, nagrody Literackiej Gdynia, w półfinale Angelusa, a w przekładzie Elizy Marciniak otrzymały nominację do nagrody brytyjskiego Pen Clubu w Wielkiej Brytanii, National Book Award w USA, międzynarodowej nagrody Bookera oraz nagrody Uniwersytetu Warwick dla najlepszej książki autorki zagranicznej.



Siedlisko

tekst MICHAŁ SZCZĘCH

DWIE EMERYTKI WZIĘŁY SPRAWY W SVOJE RĘCE: – Inni proszą, żebyśmy w ich imieniu powiedziały głośno na sesji rady gminy o tym, co ich boli. Sami nie powiedzą. Bo siedzi w nich stary pogląd, że władza może wszystko.

To nie był protest, o którym opowiadałyby ogólnopolskie gazety, radio, telewizja. Nie odbył się ani w Sejmie, ani na ulicach Warszawy, tylko w niewielkiej gminie, o której nawet wójt zwykł mawiać, że to „rolnicza, uboga gmina położona na boku”. Może właśnie dlatego o proteście kobiet z Siedliska w województwie lubuskim nie dowiedziała się cała Polska?

Emerytki Danuta Wojciechowska i Jolanta Mokwińska w maju 2021 roku przyszyły na sesję rady gminy, by jak zwykle zapytać o niewygodne problemy trapiące mieszkańców. Tym razem jednak nie zapytały. – Nie pozwolimy na kneblowanie ust! – krzyknęły. I ruszyły przed biurko wójta. Tam stoczyły bój o demokrację i wolność słowa w „rolniczej, ubogiej gminie”, bo Małgorzata Chilicka, przewodnicząca rady wybrana z komitetu wójta, na co dzień nauczycielka wychowania fizycznego w miejscowej podstawówce, ogłosiła, że mieszkańcy w trakcie obrad nie będą już mieli prawa głosu.

Nie ma ustawy, która gwarantowałaby obywatelom, że dostaną głos w trakcie sesji, choć

ta z definicji powinna być miejscem debaty publicznej. To, czy mogą się wypowiedzieć, zależy od dobrej woli osoby pełniącej funkcję przewodniczącego i od statutu gminy. Za ten ważny dokument odpowiada sekretarz – prawa ręką wójta. W Siedlisku funkcję tę pełni Maria Miśkiewicz, nazywana sekretarzą. Statutu nie aktualizuje od lat.

Radni opozycji przez kilka tygodni pracowali nad dokumentem, który uregulowałby między innymi kwestię zabierania głosu przez mieszkańców. Projekt nowego statutu trafił do gminnej szafy. Przeleżał tam cztery miesiące, po czym Miśkiewicz ogłosiła, że jej zdaniem się nie nadaje.

WOJCIECHOWSKA W TRAKCIE sesji nagrywa wypowiedzi sekretarzą, a także przewodniczącej i wójta. Publikuje je na Facebooku. – Za to powinna być ukarana! – pogroził palcem wójt. I ogłosił, że mógłby podać Wojciechowską do sądu, choć przecież każdy ma prawo nagrywać obrady. W obronie mieszkanki stanęła garstka radnych opozycji. Natomiast

Ryszard Kieczur, radny z obozu wójta, ogłosił, że to on czuje się zastraszony i nękany, bo jego zdjęcie zawisło na bilbordzie. Jako winne rzekomego nękania Kieczur wskazał dwie emerytki: Mokwińską i Wojciechowską. Gdy próbowały wyjaśnić, że nie one wieszają zdjęcia, skarciła je przewodnicząca Chilicka i zabroniła im mówić.

Kieczur, z zawodu leśnik, jest radnym od kilkunastu lat. Prywatnie koleguje się z wójtem. W święto Trzech Króli, ubrani w królewskie szaty i korony, panowie maszerowali na czele pochodu ramię w ramię z proboszczem. Gdy opozycja przed wyborami krytykowała wójta, proboszcz powiedział z ołtarza, że to czarne owce. Później dostał trzy dotacje z urzędu gminy na remont kościoła, przegłosowane przez radnych, opiewające w sumie na 80 tysięcy złotych. O rozliczeniu tych dotacji radni nie poprosili do dziś. Tymczasem proboszcz złożył niedawno wniosek o czwartą, tym razem wartą ponad 70 tysięcy złotych.

Wójt może liczyć na przychyłność proboszcza, który w trakcie niedzielnej mszy potępił Cepeeniarza, oponenta wójta. Powiedział wiernym, że Cepeeniarz próbuje ich skłócić, więc nie mogą mu wierzyć.

WSPOMNIANY BILBORD stoi na polu przy drodze wojewódzkiej. Zdjęcia wieszają tam

Cepeeniarsz. Tak podpisuje się w internecie. Nie chce zdradzić imienia i nazwiska. – Taka sława mi niepotrzebna – mówi. – Nie chcę, żeby moje nazwisko kojarzono z tym wójtem.

Ma stację paliw, jedyną w gminie Siedlisko. Patrzy władzy na ręce. Zawiesił zdjęcie Kieczura, bo na posesji radnego wypalono łąkę, choć wypalania zakazuje między innymi ustawa o ochronie przyrody, a ścieki z jego przydomowej oczyszczalni płynęły do Odry. To przestępstwo, dlatego po piśmie mieszkańca i otrzymaniu zdjęć policja wszczęła dochodzenie. Kieczur bronił się, że spał chory w łóżku, gdy szwagier podpalił łąkę. Później zmienił wersję zdarzeń i powiedział, że podpalił ktoś obcy, a szwagier tylko gasił. Płynące ścieki wytłumaczył awarią. Sprawę w czerwcu umorzono.

Gdy Wojciechowska w trakcie obrad powiedziała, że Kieczur kłamie, Chilicka znowu odebrała jej głos. Dawniej nie uciszała mieszkańców. Nie przychodzili na sesje. Wszystko zmieniło się w 2018 roku. W wyborach samorządowych doszło do drugiej tury (pierwszej w historii gminy). Agnieszka Adamów-Czaykowska, miejscowa społeczniczka, prezeska Fundacji Karolat organizującej w Siedlisku Święto Bzów, w walce o fotel wójta zmierzyła się z nim i przegrała. Wtedy w emerytkach coś pękło. A Cepeeniarsz opublikował felieton Pawła P. Również w formie ulotki, bo w „małej, ubogiej gminie”, w XXI wieku, w wielu domach wciąż nie ma internetu.

Wydarzenia z Siedliska Cepeeniarsz porównałby dziś do zadrapania na nodze, które zmieniło się w krostkę, a na końcu w potężny czyrak. – Ja ten czyrak chciałem przeciąć, żeby mieszkańcom było łatwiej chodzić – mówi. Nazwałby to przechodzeniem od plemiennego trybalizmu do samoświadomego społeczeństwa demokratycznego, w którym wolność słowa i krytyka władzy jest warunkiem rozwoju i samodoskonalenia jednostek. Dla mieszkańców, przynajmniej niektórych, było to po prostu trzęsienie ziemi, przewrót, rewolucja.

Nie wiadomo, czy doszłoby do tego wstrząsu, gdyby Paweł P. nie napisał, że wójt „jest zwykłym człowiekiem z krwi i kości”, że „w odróżnieniu od innych być może wykazuje tylko większą słabość do pączków”, że jest

„fatalnym zarządcą, kiepskim gospodarzem, przeciętnym urzędniczym obibokiem, których w Polsce jest naprawdę wielu”, że „Polska powiatowa roi się od takich nieudolnych wójtów”. „Nie możemy się bać mówić głośno o tym, co nam się w gminie nie podoba” – zaapelował. „Powodów do niezadowolenia mamy mnóstwo”.

—
 ABY USTALIĆ, dlaczego wójt został wójtem, trzeba cofnąć się do lat 90. ubiegłego wieku. Mirosława Maciejewska, emerytowana dyrektorka publicznego przedszkola, była wtedy radną. – To były czasy, gdy wójta wybierali radni spośród siebie – wspomina. – To ja miałam zostać wójtem, ale w ostatniej chwili część radnych mnie zdradziła.

Choć wójt wytoczył sprawę z powództwa prywatnego, reprezentowali go prawnicy opłacani z gminnego budżetu. Tym samym prawników, chcąc nie chcąc, opłacili wójtowi mieszkańcy.

„Witold Rytwiński [ówczesny radny, w przeszłości trener piłki nożnej, jeszcze w czasach, gdy wójt jako dziecko grał w lokalnej drużynie młodzików – przyp. M.S.] oraz lokalny przedsiębiorca, piekarz Jan Fijoł [także ówczesny radny – przyp. M.S.], postanowili wyhodować sobie wójta” – napisał Paweł P. w felietonie. „Wybór padł, co oczywiste, na najmłodszego, nieopierzonego politycznie i najmniej doświadczonego, a co za tym idzie, na najbardziej podatnego na sugestie radnego – młodzika ledwo po trzydziestce – Darka Strausa. Starzy wiedzieli, że młody Straus bez doświadczenia, bez większych ambicji, będzie idealnym kandydatem, którym łatwo da się sterować”.

Zanim Straus został wójtem, przez rok studiował na Akademii Rolniczej w Szczecinie. Ukończył intensywny kurs języka angielskiego na Uniwersytecie Jagiellońskim, by jako stypendysta ECESP [European Circular Economy Stakeholder Platform – przyp. red.] kształcić się w USA, gdzie podobno zdobył dyplomy z zarządzania, informatyki oraz

z języka angielskiego – tak twierdzi. Na takie stypendia wysyłano wówczas młodzież z wiosek pegeerowskich, by po powrocie uczyła miejscowych rolników zachodniego gospodarowania. Straus zna rosyjski. Twierdzi, że ukończył Wyższą Szkołę Społeczno-Ekonomiczną w Warszawie z dyplomem ekonomisty o specjalności gospodarka regionalna i lokalna, a także Studium Prawa Europejskiego w Wyższej Szkole Studiów Międzynarodowych w Łodzi. To tylko część dyplomów, które spisał na kartce i odczytał, prezentując się przed mieszkańcami zebranych w wiejskiej świetlicy z okazji debaty przedwyborczej zorganizowanej w 2018 roku, gdy walczył o szóstą kadencję. Dyplomów nie pokazał.

Paweł P. napisał, a Cepeeniarsz to opublikował, że wójt uczył się w USA wiązać końskie ogony. Że to „prosty chłopak z wąsikami, który nie posiada żadnych kompetencji, a także predyspozycji intelektualnych”, że to „amerykański wójt pączkojad”, który „umawia się z kolesiami – spaślakami”. Paweł P. sprowadził do groteski rzeczywistość Siedliska, żeby – jak twierdzi Cepeeniarsz – ludzie przestali się bać wójta, a zaczęli się z niego śmiać. Na zasadzie, że dzieci boją się Baby Jagi dopóty, dopóki nie zaczną się śmiać z kurczaki na jej nosie.

—
 GDYBY WÓJT ZAŁOŻYŁ Cepeeniarszowi sprawę o zniesławienie i publiczne znieważenie w sądzie cywilnym, to w razie przegranej pozwanemu groziłaby na przykład kara wpłacenia pieniędzy na szczytny cel wskazany przez wójta. – Założył w karnym, więc można przypuszczać, że chce wsadzić mojego klienta do więzienia, nawet na rok – komentował w sądowym korytarzu adwokat Mariusz Ratajczak.

Choć wójt wytoczył sprawę z powództwa prywatnego, reprezentowali go prawnicy opłacani z gminnego budżetu. Tym samym prawników, chcąc nie chcąc, opłacili wójtowi mieszkańcy (sprawę bada rzecznik dyscypliny finansów publicznych). Była to kancelaria Kondracki i Jedyński, współpracująca z gminą od lat, za blisko trzy tysiące złotych brutto miesięcznie. Wójt postawił Cepeeniarszowi trzynaście zarzutów. W międzyczasie zrezygnował z usług tych prawników, by podpisać umowę z kancelarią Czapczyńskich

z Wrocławia za niemal siedem i pół tysiąca złotych brutto miesięcznie (żadna z gmin w okolicy nie płaci za obsługę prawną tak dużo). Tym samym w dwa lata gmina Siedlisko zapłaciła za obsługę prawną blisko 200 tysięcy złotych, czyli dwukrotnie więcej, niż wydawała w takim czasie do tej pory. Liczba zarzutów wzrosła do ponad dwustu.

„Geniusz samorządu i mistrz nepotyzmu, który obsadził stołki w gminie ciotkami, kuzynkami, wujkami i innymi pociotkami, by ci chronili go i robili wszystko, by trwał na tronie dożywotnio” – napisał Paweł P. „Upasiony na pączkach gwiazdor”, „kocur spaślak w odmianie wiejsko-gminnej”, „wójt wszystkich wójtów”, „oligarcha”, „gminny tytan intelektu”, „najmądrzejszy wójt świata”, „wybitny mąż stanu”, „wielki car”, „król – słońce”, „mściwy i małostkowy wójt” – to ledwie garstka sformułowań użytych w felietonach, za wydawanie których wójt chciał wsadzić Cepeeniarza do więzienia.

„Wykazane powyżej sformułowania są bezprawne, albowiem są obraźliwe, sprzeczne z prawdą, zniesławiające i pozostają w żaden sposób nieuzasadnione” – napisała Anna Kałużna, gminna prawniczka wójta, który w pozwie zażądał od Cepeeniarza sprostowań i przeprosin, a także zapłaty dziesięciu tysięcy złotych na konto kancelarii Czapczyńskich, dwadzieścia tysięcy złotych na Gminny Klub Sportowy w Siedlisku oraz zaprzestania dalszych publikacji.

O PISANIE KRYTYCZNYCH felietonów wójt oskarżył Pawła Pazdrowskiego, miejscowego przedsiębiorcę, swojego rywala w wyborach w 2006 roku (wójt wygrał wtedy stu siedemnaście głosami, 837 do 720). Pazdrowski wielokrotnie zapewniał, że nie jest Pawłem P. „Za co wójcina chce wtrącić do lochu znajomitego przedstawiciela społeczności gminnej?” – zapytał Paweł P. w felietonie. „Czy grzechem jest to, że poślubił Jołę Pazdrowską – jedną z osób, dzięki którym w Siedlisku zbudowano nowoczesną szkołę?”

W czasach, gdy wójt został wójtem, Pazdrowska, wówczas dyrektorka miejscowej podstawówki, wzięła urlop, żeby urodzić i wychować syna. Wtedy szkoła, dzieło jej życia, popadła w długi. Wójt obarczył ją winą. Dlatego wróciła. – Ponownie wygrałam

konkurs na stanowisko dyrektorki – opowiada po latach. – Oddłużyłam szkołę. Wójtowi być może spodobała się polityka oszczędzania na edukacji, skoro kazał oszczędzać dalej. Sprzeciwiłam się. Wtedy, bez podania przyczyny, odwołał mnie ze stanowiska.



Sąd pracy przyznał rację Pazdrowskiej. Wójt musiał wypłacić jej odszkodowanie z gminnego budżetu. Rozpisał nowy konkurs. Pazdrowska złożyła dokumenty w zamkniętej kopercie. Gdy komisja otworzyła koperty kandydatów, u niej brakowało zaświadczenia lekarskiego. Tym samym, z powodu braków formalnych, jej kandydatura przepadła. Powiadomiła prokuraturę. Do Siedliska przyjechali śledczy. Pobrali próbki materiałów genetycznych. Ustalili, że ktoś otwierał kopertę, gdy czekała na konkurs w gminnej szafie. „Nie budzi wątpliwości, że zaświadczenie lekarskie zostało usunięte w trakcie przechowywania go w Urzędzie Gminy” – ocenił prokurator. „W sposób jednoznaczny stwierdzono, że na kopercie widnieją ślady odklejania zakładki węższej” – brzmi fragment prokuratorского pisma.

Śledczy nie ustalili, kto otwierał, bo zabezpieczone ślady, owszem, pozwoliły „na wyizolowanie DNA i oznaczenie jego profilu”, ten jednak wykazywał „charakter mieszaniny, pochodzącej od co najmniej trzech osób”. Jedną była, co rozumiałe, Pazdrowska. Kim były pozostałe osoby? W uzasadnieniu sporządzonym przez prokuraturę można przeczytać: „Jak wynika z zeznań świadków, dokumenty po ich złożeniu w sekretariacie były przechowywane w zamkniętej szafce,

a następnie przekazane wójtowi do dekretacji oraz sekretarzowi Urzędu Gminy w Siedlisku – Marii Miśkiewicz, która przechowywała je w zamkniętej szafie”. Zatem koperty dotyczyli też między innymi wójt i sekretarz. „Nie stwierdzono, aby usunięcie dokumentów było związane z naruszeniem obowiązków służbowych w zakresie przechowywania dokumentów przez osoby zatrudnione w urzędzie” – uzasadnił prokurator i umorzył sprawę.

Pazdrowska musiała zmienić swoje życie. – Jako pierwsza w gminie przeciwstawiłam się wójtowi i jako jedna z pierwszych doświadczyłam jego zemsty. Przegrałam, bo w swojej walce byłam sama. Przypłaciłam to ciężką depresją. Całymi dniami nie wstawiałam z łóżka. Miałam myśli samobójcze – prezentuje dokumentację medyczną sprzed lat. Zdiagnozowano u niej odroczonej postaci syndromu stresu pourazowego, wywołanego napiętą sytuacją w pracy. Czy los Pazdrowskiej mógł mieć wpływ na mieszkańców, którzy, bojąc się podobnych konsekwencji, nie protestowali przez lata przeciwko nieprawidłowościom w gminie Siedlisko? Pazdrowska twierdzi, że tak. Nie wróciła do nauczania, które tak bardzo kochała. Dziś produkuje z mężem kozie sery.

Sprawa przeciwko Pazdrowskiemu została umorzona.

CHOĆ CEPEENIARZ nie wydaje gazety, a felietony Pawła P., które publikuje, uznaje za ulotki, wójt oskarżył go o łamanie prawa prasowego. Sprawa jest w toku. Pozwem straszył też Poczta Polska za to, że za opłatą rozpowszechniała felietony wśród mieszkańców.

„Wzywam Pana do niezwłocznego zaprzestania wszelkich naruszeń dóbr osobistych Gminy Siedlisko, w szczególności polegających na bezprawnym, bowiem bez wymaganych zezwoleń Wójta Gminy Siedlisko, używaniu logotypu herbu Gminy Siedlisko” – napisał wójt do Cepeeniarza. Ponad dziesięć lat temu miejscowi radni przegłosowali uchwałę, że wójt jednoosobowo decyduje o tym, kto może używać herbu, a kto nie. Wójta nie oburzyło, gdy jeden z jego popleczników wrzucił do internetu zdjęcie, na którym ubrany w koszulkę z herbem gminy trzyma piwo i wystawia środkowy palec.

Poplecznikowi wójt nie wytoczył procesu, jaki wytoczył Cepeeniarzowi za to, że umieszcza herb przy felietonach. Sprawa jest w toku.

CEPEENIARZ PUBLIKUJE nie tylko felietony, ale też wiersze niejakiej Janiny, tajemniczkiej poetki z Bielaw, która, jak mówi Cepeeniarz, pisze zaangażowaną politycznie poezję ludową.

„Pocałujta w dupę wójta / Wy się wójta już nie bójta” – zaapelowała do mieszkańców poetka Janina w jednym z wierszy. O tę twórczość i ukrywanie się pod pseudonimem Janina wójt oskarżył Barbarę Szymańską, poetkę ze wsi Borowiec, przyjaciółkę Pazdrowskiej. Również do ścigania Szymańskiej wykorzystał prawników opłacanych pieniędzmi z gminnego budżetu.

Szymańska ma pięćdziesiąt lat, męża i dwoje dzieci. Zajmuje się domem. Kiedyś była sołtyską Borowca. Twierdzi, że nie umiała porozumieć się z wójtem, mimo że potrafi usłyszeć nawet to, o czym ktoś milczy. Pisze wiersze. W ten sposób wyraża swoje myśli. Łatwo ją wzruszyć. Płakała, gdy w dzień rozprawy pod sąd przysłała garstka mieszkańców ze wsparciem i transparentami. „Basia nie Janina!” – krzyczały hasła z tektury. – Wstyd! – krzyczeli ludzie w stronę wójta.

– Nie zasłużyłam na takie traktowanie i prześladowanie – broni się Szymańska. Płacze w swoim ogrodzie. Nie ze strachu, raczej z bezsilności. – Bo gminą rządzi człowiek,

który zamiast wspierać mieszkańców, używa represji.

Gminni prawnicy w imieniu wójta napisali w uzasadnieniu, że ściganie Szymańskiej leży w „interesie społecznym”. „Dążenie niektórych twórców, względnie niektórych kierunków artystycznych, do nieograniczonej swobody twórczej nie może znaleźć aprobaty prawa”. Powołali się między innymi na wyrok Sądu Najwyższego z 1979 roku, czyli z okresu, gdy władza w sposób okrutny, często brutalny, tłumiała wolność słowa.

„Nie sposób uznać, ażeby nazywanie wójta eunuchem, świecącym rozporkiem, pokazującym ptaka sekretarzowej i szkolnej księgowej, sadzającym na kolana dziewice rumiane, miernotą, nieukiem z oślimi uszami, niedojdą, prostakiem, potworem, bestyjką z wąsikami, urwpołciem i chamem, lubieżnikiem, huncwotem, wszetecznym draniem, nie było obraźliwe, nie stanowiło naruszenia dóbr osobistych, nie znieważało wójta jako funkcjonariusza publicznego, nie wkraczało w jego życie prywatne” – uzasadniali gminni prawnicy wójta, cytując poetkę Janinę.

– Przecież ja nigdy nie używałam takich epitetów – broni się Szymańska. – Tylko ktoś szalony może przypuszczać, że kiedykolwiek choćby pomyślałam o rozporku wójta. Jestem niewinna, a to, co robi wójt, jest próbą zastraszenia mnie i takich jak ja, którzy patrzą mu na ręce.

Sprawa Szymańskiej jest w toku.

EMERYTKI Danuta Wojciechowska i Jolanta Mokwińska przyszyły na sesję rady gminy, by jak zwykle zapytać o niewygodne problemy trapiące mieszkańców. Dawniej nie pytały.

– Na emeryturze włożyłam ciepłe kapcie i usiadłam przed telewizorem – przyznaje Wojciechowska, która jeszcze w 2018 roku uważała, że wójt jest najlepszym wyborem dla Siedliska.

– Wychowywałam dzieci, później zajmowałam się chorym mężem, dlatego nie miałam czasu – tłumaczy Mokwińska.

Były dumne, że mieszkają w Siedlisku, w pobliżu ruin zamku, przed wojną jednego z najwspanialszych na Śląsku. Władał tu słynny ród Schönaich-Carolath. W zamku gościły koronowane głowy, między innymi cesarzowa Hermina Reus-Hohenzollern, żona Wilhelma II. W Siedlisku był teatr. Wystawiano opery. Przyjeżdżali artyści. Pod koniec XIX wieku był tu Węgier Philip de László, ceniony portrecista tamtych czasów, do dziś znany z wizerunków między innymi cesarza Franciszka Józefa I, papieża Leona XIII i dwudziestego szóstego prezydenta USA Theodore’a Roosevelta.

W okolicach Siedliska odnaleziono cmentarzysko sprzed stuleci. Przyjechali naukowcy z Wrocławia i odkopali cenną biżuterię. Dziś, poza pasjonatami historii, nie wie o tym nikt. Do Siedliska nie przyjeżdżają turyści. Nie podziwiają dorzecza Odry. Nie znają opowieści o tragicznej miłości księcia Heinricha zu Carolath-Beuthena do księżnej Adelajdy, która zmarła cztery tygodnie po ślubie. Nie słuchają o jednym z właścicieli pochowanych na wzgórzu, który zmarł, bo próbował leczyć ból zęba papierosem. Nie wiedzą, że słowo „Carolath” (taką nazwę przed wojną nosiło Siedlisko) zapisywała na kopertach sama Selma Lagerlöf, szwedzka pisarka, noblistka, polskim czytelnikom znana dziś przede wszystkim jako autorka powieści *Cudowna podróż* o przygodach Nilsa Holgerssona, który latał na dzikich gęsiach. Lagerlöf słała listy do mieszkającej w Siedlisku księżnej Eriki von Schönaich-Carolath.

Nie ma tu agroturystyki, restauracji, hoteli. Nikt, poza garstką pasjonatów, nie mówi dziś głośno o tym, że Siedlisko nazywano przed wojną bżowym rajem. Po dawnej świetności tego znaczącego punktu

